Ner 16. Kraków 24 lipca 1869. Rok III.

KALINA

KALINA wychodzi co tydzień (w Sobotę) w jednym arkuszu.

Rubryki stałe: Sprawy wychowania. — Ruch społeczny. - Szkice obyczajowe. — Powieści. — Sztuki i literatura. — Życiorysy. — Podróże. — Poezje. — Z przyrody. — Korespondencje. Kronika i Sprawozdania bieżące.

Mody, kroje, wzory robót, haftów i t. d. z opisami dołącza się każdego 1go.

Ekspedycja dla miasta Krakowa w księgarni **J. Czecha** hotel dreździeński i **F. Baumgardtena** w głównym rynku.
Listy należy adresować: „do Administracyi Kaliny" — w Krakowie.

Alfons Lamartine

SZKIC BIOGRAFICZNO-LITERACKI

przez

Lucyana Tomasza Rycharskiego.

(Dokończenie).

Rewolucja lutowa między wielu zgubnemi skutkami, pociągnęła za sobą ten przynajmniéj zbawienny, iż zdarła romantykom maskę z twarzy. Poeta *medytacji* używał przed r. 1848 przywileju, jaki wszystkim innym pisarzom i politykom był zabroniony: Lamartine mógł coś niesłychanego mówić i czynić, chociażby mu się nawet krytyka oparła, wszystko to było z pewną czcią przyjmowane. — W jego istocie leżała jakaś rycerskość, arystokratyczna forma, która wszelki napad parlamentarnéj potyczki zdawała się od niego odpierać. Thiers był jedynym, który mu raz dał poważną naukę. W pierwszych miesiącach rewolucji był on nietylko najpopularniejszym mężem we Francji, ale nawet cała Europa w jakiemś przeczuciowém podziwieniu oczekiwała, co za nową zasadę ogłosi on światu. Rozczarowanie następowało zwolna, i właściwie dopiero wtenczas, kiedy on sam w swém nowém historycznem dziele zdał sprawę z swego postępowania. — Dla tych, którzy dotychczasowe jego stanowisko z zimną rozwagą obserwowali, wynik ten nie mógł być wątpliwym. W całém jego życiu rzeczywistość objawiała się u niego tylko w ludzących fantazyjnych obrazach, dusza jego była jedynym środkowym punktem jego życia, jedyną jego dążnością znakomite i wybitne stanowisko, ideały jego podobne do obłoków przechodziły wciąż w przeciwieństwa. — Całemu światu prawił on grzeczności, ale prócz siebie, nikogo nie kochał. Artyzm jego w marzeniach nigdy nie był przerwany poważném jakiemś studjum lub myślą prawdziwie męzką. Człowiekowi takiemu oddano nagle wielką potęgę w ręce, przynajmniéj w jednéj chwili Lamartine wywarł wpływ rozstrzygający. — Liberalna opozycja rzuciła się w pewien rodzaj wściekłéj walki z rządem, walki, któréj dalszych następstw nie przewidziała. Publiczność, osobliwie paryzka, przyzwyczajona do ciągłych zmian ministerjalnych i chciwa nowych widowisk, gniewała się, iż Guizot tak długo panował i cieszyła się ze scen dramatycznych. Rząd, który w owéj

Rysunki Artura Grotgera.
z wystawy paryzkiéj 1867



ODJAZD NA WOJNĘ.

lękliwéj tendencji popularyzacyjnéj zapomniał był stać na własnych nogach, stracił zupełnie głowę i swemi niedorzecznemi uchwałami przyczynił się do ogólnego zamieszania. Istniał spisek za rzecząpospolitą. Wszelako liczba spiskowych była tak szczupła, oni sami tak mało wierzyli w udanie się ich planów, a sprawy przeważającéj większości tak ściśle były złączone z dynastją lipcową, iż z tego powstania nigdy nie byłaby wynikněła rewolucja, gdyby w rozstrzygającéj chwili, kiedy wszelka powaga ustała, Lamartine, którego uważano za rojalistę i arystokratę, nie był nadał bezwiednéj masie pewnego oznaczonego kierunku. Maluje on to w swych *Pamiętnikach* nadzwyczaj dramatycznie. Nastąpiło znów przesilenie konfliktu sercowego i litość nad szlachetną a nieszczęśliwą kobietą, która mu całe zaufanie powierzyła, zupełna niepewność przyszłości, wszystkie te uwagi kołysały się w jego fantazji; oparł głowę na stół, przyczem naturalnie skreślił zaraz swą fizyognomję, „wyrwał serce z swych piersi i zacisnął je w ręku, aby tylko rozumu słuchać.“ Tak tedy postawił wniosek zaprowadzenia Republiki. — C'est un acte de citoyens que nous voulons faire; le reste n'est plus dans nos mains, Messieurs, le reste est dans les mains de Dieu! Była to wielka chwila w życiu męża stanu, lecz z tem ustał wpływ jego rzeczywisty. Później wpadł w ręce Jakobinów, i od tego czasu nie tylko nic więcéj nie działał, ale nawet nic więcéj nie widział.

Po rewolucji ustała wprawdzie polityczna jego rola, mimo to jednak, nie lekceważono jego charakteru. Kiedy Thiers z największym cynizmem zdrowego rozsądku ludzkiego wystąpił przeciw romantyzmowi rewolucji lutowéj, wtenczas podniósł się Lamartine i zawołał: „Belletryści robią epigramy, ludy robią rewolucje!“ Dowcip ten przyjęty został z wielkim zapałem i oklaskami od lewicy, a Emil Girardin, którego chwiejny duch po rozlicznych zmianach mniemał wkońcu znaleźć w socjalizmie rozwiązanie wszelkich zagadek ludzkości, ogłosił Lamartina na nowo jako największego męża Francji.

Od tego czasu Lamartine bardzo dużo napisał, wielkie dzieła filozoficzne, historyczne i polityczne rozprawy. Na uwagę zasługują dwie nowelle: *Géneviève* (1850) i *Kamieniarz z St. Point* (1852).

Po zamachu stanu 2 grudnia 1851 r. Lamartine powrócił zupełnie do życia prywatnego i nigdy już odtąd w sprawach publicznych żadnego przyjąć nie chciał udziału. Bolesne straty majątkowe, które go jedna po drugiéj dotknęły, oddały go w ręce nielitościwych wierzycieli, przed którymi zaledwie uchronić go zdołały powtarzane kilkakrotnie subskrypcje prywatne we Francji, nawet w Anglji i północnéj Ameryce. Wkońcu na wniosek rządu, izby francuzkie zawotowały dla Lamartina nagrodę narodową, którą on jednak przyjął z upokorzeniem, jakby wsparcie i mniéj honorową jałmużnę; odebrawszy o tém wotum wiadomość, wyrzekł pamiętne słowa, które całą zbolałość ówczesną duszy jego malują: — „Kiedy się ma długi, wszystko znosić trzeba, ale tém wsparciem ugodziła mnie Francja w samo serce.“

W r. 1867 stracił Lamartine małżonkę, wierną towarzyszkę jego powodzeń, sławy, zawodów i cierpień. Śmierć ta zadała ostatni cios słabnącemu już z dniem każdym poecie, który ostatnie lata swego życia przepędził w posiadłości swéj St. Point, niedaleko Mâçon, a więc w samém centrum swych stron rodzinnych. Tu zmarł spokojnie 1869 r. 25 lutego w 79 roku życia, otoczony czułém staraniem swojéj siostrzenicy i kilku wiernych przyjaciół. Wiadomość o jego śmierci w pismach publicznych Paryża przyćmioną została doniesieniem o równoczesnéj śmierci pana Troplong, prezesa senatu, pierwszego prezesa sądu kasacyjnego i t. d.

Jeszcze trumny Lamartina nie zamknięto, a już ogromna popularność jego ożyła — jego rytmy, jego proroctwa były we wszystkich ustach. — W rzędzie tych ostatnich pierwsze zajmuje miejsce utwór *Utopia*, który ogłoszono wkrótce po jego śmierci.

Skoro cesarz dowiedział się o śmierci Lamartina, kazał oświadczyć rodzinie, iż będzie pochowany kosztem publicznym. Przybrana córka poety, pani Cessia de Lamartine odpowiedziała panu Doucet, przysłanemu z tém uwiadomieniem, że nie może przyjąć łaski cesarskiej, albowiem wypełni do końca wolę swojego wuja, która w tym względzie jest wyraźną.

Lamartine umarł w szwajcarskim domku w Passy pod Paryżem. Zdrów całe życie, chorował zaledwie tydzień na paraliż, który go poraził z lewéj strony. Od dwóch miesięcy ani słowa do nikogo nie przemówił; dobrowolne to milczenie przypisują chęci zaoszczędzenia sił do pracy. Umarł, a raczéj zasnął bez żadnych cierpień na ręku pani Cessia. Sławny kaznodzieja paryzki, ojciec Hyacynt, odprowadził ciało z mieszkania na dworzec kolei ljońskiéj; ztąd wyruszyło do Mâçon, a ztamtąd do rodzinnego grobu w St. Point. Zwłoki przewieziono przez Paryż furgonem umarłych bez żadnéj eskorty. Na dworcu przyjmowali je wszyscy deputowani lewicy z Fawrem i Simonem na czele. — Szczupły orszak wybranych towarzyszył zwłokom na miejsce ostatniego spoczynku. Kiedy przewożono trumnę przez wieś, zostającą od wieków w posiadaniu rodziny Lamartina, wieśniacy prosili, aby otworzono wieko, a skoro stało się zadość ich woli, cisněli się tysiącami i całowali ręce nieboszczyka. — Po cichéj mszy odprawionéj w kościołku wiejskim, bez żadnych przemów, żadnych retorycznych kwiatów, postawiono trumnę pomiędzy trumną córki i żony, któréj postać wyżłobiona z marmuru przez Salomona, leży na sarkofagu. Tenże rzeźbiarz przyjaciel zdjął maskę z pośmiertnych rysów poety i jego posąg umieści w rodzinnym grobie.

Tak z uroczystą ciszą odbył się pogrzeb Lamartina na wsi. W stolicy przez ten czas brzmiały hymny na cześć jego napisane.

NAWRÓCENIE.

Na wiatry rzucam myrtowe wianki
I kwiat z warkocza lubéj uszczknięty.
Więc bez miłości i bez kochanki
Żyć będę daléj — i tak bez końca . . .
W gwiazdy nie patrząc — nie pragnąc słońca
Jako przeklęty.

A choćbym wiedział, że z twego czoła
Upadła róża, wala się w pyle.
I choćbym wiedział że wrócić zdoła
Téj róży życie, i woń, i wdzięki
Jedno dotknięcie tylko méj ręki —
To się nie schylę.

I choćbym widział że wzrok twój śliczny
Padł na drugiego rzewny i smętny.
I że z nim razem w świat idylliczny
Przysięgasz jechać w modnéj karecie;
Mnie wszystko jedno gdzie pojedziecie —
Bom obojętny.

Minor.

FAKTOR.

Ramotka z życia prowincjonalnego.

przez ***Wł. Ładę.***

(Ciąg dalszy).

— Wolne żarty pańskie! — wycedził niepewnym głosem pan Deodat.

— Żarty? . . . nie dziesięć, piętnaście tysięcy dam za męża dla Stefanii . . . byle zaraz . . . byle dziś, jutro . . .

— Chwila stanowcza, korzystajmy — pomyślał pan Deodat, i szybko wyciągając rękę, rzekł:

— Trzymam pana za słowo.

— Jakto? co? nierozumiem . . .

— Znajdę panu zięcia . . .

— Teraz ja powiem: wolne żarty!

— Bynajmniéj. Jest to interes wielkiéj wagi, a ja takie rzeczy traktuję poważnie — odparł pan Deodat, i poprawiwszy się na kanapie, dodał:

— Znajdę pana zięcia, ale zrobię kilka uwag i położę warunek.

— Słucham.

— Najprzód, że pan obietnicę, przed chwilą w prędkości może wyrzeczoną, wypełnisz co do joty.

— Jedno tylko mam słowo! — odparł dumnie pan Łubkowski, który teraz dopiero spostrzegł, że to p. Deodat przy nim siedzi.

— Bo tak znaczna summa . . .

— Nie jest za wielką na okupienie spokoju życia. Słucham daléj.

— To był warunek, a teraz parę uwag: Nie możesz pan żądać, aby zięć był bogaty . . .

— A co mi po tém!

— Bo majętny młody człowiek nie da się nakłonić. Powtóre, potrzeba znacznego posagu . . .

— Dam dwakroć zaraz, po śmierci pół majątku . . . .

— Pół tylko?

— Jeżeli się ożenię, to i żonie coś zostawić muszę.

— Prawda! a zresztą, co mnie to obchodzi! — pomyślał faktor. — Nie możesz pan także żądać — dodał głośno — aby mąż panny Stefanii zajmował wysokie stanowisko w towarzystwie.

— Wszystko mi jedno; byle szlachcic i miał trochę oleju w głowie; o resztę nie dbam.

— Możesz pan być spokojnym. Los pod tym względem lepiéj panu dogodzi, niż kiedykolwiek spodziewać się mogłeś.

— Więc pan już masz . . . Któż to jest?

— Zaraz powiem. Ale wprzódy szanowny panie . . . słowo wiatr . . . . jesteśmy ludzie śmiertelni . . . . możeby rewersik . . .

— A . . . dobrze. Proszę tylko powiedzieć mi nazwisko faktora, co tą sprawą pokieruje — rzekł p. Łubkowski siadając i biorąc pióro do ręki.

— Faktora? tu żadnego faktora nie potrzeba . . .

— Przecież bez pośrednictwa się nie obejdzie? . . .

— Naturalnie, ale ja sam zrobię . . .

— Pan?! — zawołał Łubkowski, a pióro wypadło mu z dłoni. — Więc to panu mam wypłacić? . . .

— Szanowny panie! — rzekł wzdychając p. Deodat — ciężkie czasy! . . . ziemia dochodu nie daje . . . trzeba zarabiać jak można . . .

Pan Łubkowski zadumał się i zakrył ręką oczy. Łza spłynęła po jego licu . . . słabe to, ale zacne serce, gorzko bolało w téj chwili nad takiém poniżeniem współobywatela, potomka hetmanów i wojewodów. Pan Deodat zaś, praktycznie biorący rzeczy, innym powodom to zamyślenie przypisując, odezwał się po chwili milczenia:

— Jakże będzie, szanowny panie?

Łubkowski wzdrygnął się, podniósł głowę i dziwnie spojrzał na mówiącego. Ale pan Deodat nie zrozumiał tego wzroku. On myślał w téj chwili, jak przezornie postąpił, zamilczając nazwisko przyszłego zięcia.

— Pojechałby, sam zrobiłby interes, a mnie odprawił z kwitkiem! . . . — mówił do siebie. A głośno powtórzył:

— Jakże więc będzie? . . . może pan pozwoli . . . . ja sam napiszę . . .

— Przeciwnie — odparł ironicznie gospodarz. — Moją ręką skreślony będzie miał więcéj waloru.

I podjąwszy pióro, napisał:

„Rewers na 15000 zł. w. a., płatny do rąk p. Deo-

data Cezarkowskiego w dzień ślubu mojéj córki Stefanii. — Józef Łubkowski."

— Są nieformalności — zauważył nieśmiało p. Deodat.

— Ale moje słowo jest formalne — odparł niecierpliwie pan Józef. — A teraz, niechże się dowiem, kto jest ów jegomość?

— Felunio.

— Guwerner u Kozłowiczów?

— Ten sam.

— Ależ jego szkoda! . . .

— Przecież siłować go nie będę! — rzekł p. Deodat, chowając starannie rewers. — Jeżeli sam zgodzi . . .



— Wątpię.

— A ja nie. Dwakroć posagu szanowny panie, to dla takiego hołysza kęsek nie lada. Już ja go przekonam . . .

— On podobno zaręczony . . .

— Cóż to szkodzi? . . . . W takim razie odsyła się pierścionek i pisze się grzecznie: „Zważywszy różne okoliczności, widzę, że z naszego związku nic nie będzie." Wszak to codzień się dzieje. Przytém, cóż to pana obchodzić może? Chcesz się żenić, córka stoi na zawadzie; dajesz jéj męża, wyprawiasz z domu — i koniec!

Pan Łubkowski westchnął.

— Co zaś do pańskiego ożenienia... czy pan zrobiłeś już wybór?

— Zrobiłem.

— W sąsiedztwie?

— Niedaleko ztąd.

— A któż to jest? jeśli wolno spytać.

Pan Łubkowski milczał.

— Może pani Grusszk . . . . nie dokończył faktor, bo pan Józef zerwał się na równe nogi.



Ostroga, jabłko, pierścień, guzik i kawałki ornamentów, znalezionych w trumnie Kazimierza W.

— Ta baba!? — zawołał — ten kolos rodyjski cwancygierami wypchany? Niech mnie Bóg zachowa!

— Aj, źle . . . — pomyślał pan Deodat.

— Wpadłbym z deszczu pod rynnę — mówił wzburzony gospodarz. — Stefcia jest przykra w obejściu, ale przynajmniéj nie skąpa . . . Zkąd panu ta myśl przyszła?

— Ja tak . . . tego . . . myślałem . . . wycedził zmięszany faktor. — Ale masz pan dobrodziéj słuszność — dodał skręcając na miejscu. — Pani Gruszkiewicz nie posiada przymiotów zdolnych . . . tego . . . o ileż np. pani Sarnicka . . .

Czoło gospodarza rozjaśniło się. Zauważył to przebiegły pan Deodat i w jednéj chwili inny plan kampanii ułożył. Zdrada względem sprzymierzeńca nie żenowała go; stosunek: jeden do piętnastu — zwalczył dzielnie skrupuły.

— W takim razie mogę tylko życzyć, aby zamiary pańskie jak najrychléj ziściły się. Co do mnie, będę wszelkich starań dokładał . . .

— Wierzę, wierzę — odparł ironicznie pan Józef.

Drzwi z trzaskiem otworzyły się. Panna Stefania stanęła w progu.

— Może pan Cezarkowski zje co?

— Proszę pana — rzekł pan Łubkowski, wstając i puszczając gościa naprzód.

— Ojcze, po co ten liczydukat przyjechał? — spytała Stefcia półgłosem.

— Interes; powiem ci późniéj.

Przy śniadaniu, pan Deodat poczęstował Stefanię swoją niefortunną ustawą. Panna czytała i uśmiechała się sarkastycznie.

— Wyborne! wyborne! — zawołała w końcu. — Któż jest twórcą?

— Ja sam, i szczycę się tém — odrzekł tryumfalnie pan Deodat. — Jest to płód . . .

— Groszomanii — dokończyła Stefcia.

Pan Łubkowski chrząknął i spojrzał na córkę.

— Zbyteczny telegraf — rzekła panna Stefcia, spoglądając na ojca. A obróciwszy się do pana Deodata, dodała:

— Źleś się pan wybrał. Na takie gryzmoły podpisywać się nie myślę. To dobre dla skąpców, lichwiarzy . . .

— Stefciu! — zawołał ojciec.

— Niechże mi tatko da pokój! wiem co mówię. Kostkiewiczowa, Pendoros niech podpisują . . . . . szczęśliwa droga . . .

— Ale i pani Sarnicka zgodziła się — rzekł rozpaczliwie pan Deodat, widząc, że i tu nic nie wskóra.

— Pani Anna! — zawołał żywo Łubkowski, chwytając arkusz z rąk córki.

Ale wnet uspokoił się, przeczytawszy dopisek. Panna Stefania tymczasem rozpuściła języczek.

To zabawne! — mówiła — mój podpis przy tych pokrakach! Jedna brzydka, druga ślepa, trzecia krzywa . . . *). Co komu do tego, co jem i jakie suknie kładę? Saligoty! . . .

Pan Deodat wymknął się cichaczem, a ponieważ in-

*) Autor przypomina, że te dziwne nazwy zaczerpnął ze słownika Stefci.

teres nadspodziewanie prędko i pomyślnie ubity został, wkrótce pożegnał gospodarza i zawrócił ku domowi, mówiąc na odjezdném:

— Za sześć tygodni wesele . . . ręczę.

Te słowa posłyszała Stefcia.

— Czyje wesele? — zapytała ojca.

— Twoje — odparł trochę zmięszany.

— Moje? . . . Serce panny Stefanii zatętniło pełnym galopem.

— Pan Deodat zna kogoś . . .

— Ten brechacz? . . . a co on ma do tego! ja nie chcę męża z jego poręki. Da mi takiego ciapaka jak sam jest! . . . nie chcę, nie chcę!

— Ależ Stefciu — perswadował ojciec. — Nie wiesz jeszcze... młody, przystojny . . .

— Znam go?

— Słyszałaś o nim. Feliks, guwerner u Kozłowiczów.

Panna Stefania skrzywiła się, ale zamilkła. Blondyn o czarném oku, to było jéj ulubione marzenie, a przez panią Toporowicz wiedziała dokładnie, że Felunio był blondynem. Certowała się jeszcze, ale tylko dla pozoru. Przez resztę dnia była nad podziw łagodną i powtarzała w myśli:

— Feliks! . . . Felunio! . . . co za popitaśne imię!

A pan Deodat jechał i rachował. Rewers Gruszkiewiczowéj przepadł, ale piętnaście tysięcy! co za różnica! . . . Pan Deodat chciał już podrzeć skrypt pani Anastazji, ale wnet się zmiarkował, i omal, że nie dał sobie policzka za swoją porywczość.

— Kto wie? — pomyślał — a jeżeli Łubkowski zmieni gust? . . . No, ale proszę, co to przeczucie i gieniusz! Anim wiedział, dlaczego coś mnie korciło pogadać z Feliksem . . . Co za znakomity interes! . . . 15 tysięcy, — to 15; w domu 37, to czyni — 52; wezmę za pszenicę z ośm, akurat wystarczy na kupno Korbaczowa . . . anim domyślał się, że pracując dla Gruszkiewiczowéj . . . ale cóż jéj powiem? . . . teraz pokazać się nie mogę . . .

W porę przypomniał sobie faktor tę okoliczność, bo Iwanko właśnie skręcał do Łapowic.

— Gdzie jedziesz niedołęgo? — do domu!

Słownik pana Deodata, choć nie tak jak panny Stefanii oryginalny, niemniéj przecież był dobitny.

Pani Anastazja do ósméj wieczorem czekała na pana Deodata z herbatą, zastawioną wedle artykułu IV, do któréj, zważywszy nadzwyczajną okoliczność, dodała półmisek mamałygi. O ósméj zaczęła się niepokoić; o dziewiątéj wypiła herbatę i zjadła podwójną porcję mamałygi — za pana Deodata i za siebie — o dziesiątéj kazała zaprzęgać i pojechała na rozstajną drogę, gdzie półtory godziny, pomimo chłodu i drobniutkiego deszczyku, który niemiłosiernie ciął ją po twarzy — bo woalki nie używała nigdy — czekała na pana Deodata.

Pan Deodat zaś dawno już był w domu, gdzie po trudach całodziennych spoczywał snem sprawiedliwego na łonie najmilszych marzeń i uroczych obrazów. Śniło mu się, że cudem jakimś dostał się do krainy cyfer. Olbrzymie jednostki z długim ogonem zer, przesuwały się przed nim, krążyły w powietrzu jak ogromne latawce, a on je chwytał i w rozrzewnieniu tulił do swéj piersi.

Dzwoniąc zębami z zimna i gniewu, namyśliła się wreszcie pani Anastazja i kazała furmanowi zawrócić. Podejrzenie zdrady zasnąć jéj nie dało, a przeziębienie i rozstrój wewnętrzny wywiązały się nazajutrz w paroksyzm febry. Ale pani Anastazja była to *hic mulier!* — Wytrząsłszy się do woli i połknąwszy cztery szklanki rumianku bez cukru, kazała zaprzęgać, i pomimo silnéj gorączki pojechała do pp. Cezarkowskich.

Jakież było jéj zdziwienie i rozpacz, gdy na wstępie dowiedziała się od pani Zofii, że mąż w nagłym interesie na tydzień do Lwowa wyjechał! . . . Gienialny faktor przeczuł napad, i równo ze świtem umknął z domu.

Gruszkiewiczowa przypuściła szturm do pani Zofii. Ale ta udała że o niczém nie wie; przeciwnie, z oporu do attaku przechodząc, zaczęła p. Anastazja robić wymówki.

— Państwo mieliście między sobą sekreta; mąż utrzymywał, że jest związany słowem . . . boli mnie, że ze strony pani dobrodziejki na tyle zaufania nie zasłużyłam . . . ale też teraz, choćbym chciała, żadną wiadomością służyć nie mogę.

Nie myślcie jednak, miłe czytelniczki, że pan Deodat istotnie aż do Lwowa uciekł przed sprzymierzoną. Był on poprostu na drugim folwarku, gdzie osobiście doglądał orania pod ziemniaki. Około dziesiątéj przybył tam

Szkic humorystyczny W. S.
Sokrates naszych czasów.



Żona. Mężu, mężu — widzisz jak jestem usposobiona nerwowo — potrzebuję pieniędzy na wody.
Mąż. Ale dam, drogi mój aniołku — tylko się nie unoś, bo ci to może zaszkodzić.

i arendarz Herszko, prawa ręka pana Cezarkowskiego, zawezwany na walną naradę. W dwie godziny potém, pan Deodat raczył przyjąć skromny obiadek u ekonoma, a Herszko, zaciąwszy chude szkapy, popędził do Leszczynowa.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KILKA CHARAKTERYSTYCZNYCH RYSÓW Z ŻYCIA

MARJI STUART.

(Rzecz oparta na najnowszych badaniach historycznych) przez *Edwarda Lubowskiego*.

(Ciąg dalszy).

Listy te znajdowały się w kassetce darowanéj jéj od Franciszka II, a podarowanéj znowu Botwelowi; były tam jeszcze dwa kontrakta ślubne królowéj i ów *band* pomięszany z miłosnemi sonetami Marji. Zniszczyli te straszne dowody interesowani, oraz Jakób I po wstąpieniu na tron Anglii. Z oryginałów zrobili tylko trzy kopie w językach: łacińskim, szkockim i angielskim; straciły trochę na wyrazistości stylu, ale nic na prawdzie historycznéj. Z Glasgowa miał być król (nakloniony wreszcie prośbami małżonki) przewieziony do Kirk-of-Field. Tak się nazywało miejsce, gdzie się spełnić miał nowy akt tragedji. Darnlej na nowo oczarowany, wymyka się niepostrzeżony z Glasgowa, obawiając się przedstawień rodziców. Kirk-of-Field było to pustkowie, osadzone między dwoma cmentarzami. Darnlej za przybyciem tu swojém zapadł w głęboki smutek. Marja chcąc go uspokoić, podwaja pieszczot i troskliwéj opieki. Pewnego dnia, było to 9 lutego 1567, zostaje dłużéj u niego, jakby nie mogąc się z nim rozstać w wielkiéj czułości, zostaje aż do godziny jedenastéj wieczorem: — rozmawiając z nim, całuje go i pieści. Na chwilę atoli przed tém ostatniém widzeniem, kazała jednemu ze spiskowców podrzędnych usunąć swoje sprzęty umieszczone ponad komnatą Darnleja, na co jéj ten odpowiedział, że zamyślają wysadzić w powietrze cały dom. „Nie mów mi teraz o tém, dorzuciła królowa, róbcie co chcecie.“ Z komnaty swego męża udaje się królowa przy blasku pochodni do zamku Holyrood, na uroczystość zaślubin dwojga z jéj domowników.

Podczas rozmowy Marji z Darnlejem, mordercy wnosili baryłki prochu do piwnic i do pokoju Marji położonego nad komnatą małżonka. Król, w wieczór ten ostatni swego życia, pozostał tylko z wiernym swoim paziem. Z początku śpiewali obaj psalmy, późniéj zasnęli na swych krzesłach. Nagle król posłyszawszy zgrzyt zawiasów zamkowych, zerwał się na równe nogi. Wybiła właśnie północ. Zbudzony paź pospieszył z lampką w ręku za królem zapuszczającym się w ciemny korytarz. Sludzy królewscy byli albo przekupieni, albo milczący z obawy Botwela. Przestraszony król dostrzegł nareszcie kilku ludzi błąkających się po wschodach, którzy natychmiast rzuciwszy się na króla i pazia, obydwóch po krótkiéj walce udusili. Po dopełnioném morderstwie, domek podsadzony prochem, wyleciał w powietrze. Urzędnicy miasta posłyszawszy straszny łoskot, przybiegli na miejsce, gdzie po długich poszukiwaniach pomiędzy gruzami znaleźli trupa Darnleja i pazia. Dwaj młodzieńcy, ujęci wiecznym snem, leżeli obok siebie, na ich szyjach znać jeszcze było ślady zbrodni. Urzędnicy, ludzie starzy i niezbyt czuli z natury, ozwali się jednak na ten widok głośnym szlochem, który powtórzyło całe miasto. Lud głośno wymieniał sprawców. Plakaty porozwieszano po murach z napisem: „pokój słodkiemu Henrykowi, śmierć Gwizjuszce!“

VII.

Marja nie miała cierpliwości siedzieć samotnie 40 dni w komnatach czarnym pokrytych suknem, przy blasku jednéj tylko pochodni, jak to było zwyczajem owdowiałych królowych szkockich. Pierwszego zaraz wieczora kazała otworzyć okna, a drugiego w towarzystwie Botwela, Letingtona, hrabiów d'Argill i arcybiskupa z Saint-André wyjechała do zamku Seaton. Powstał ogólny krzyk potępienia w Edynburgu, o który jednak królowa nie dbała. Dziwna to rzecz, że prawie wyszukiwała okazji, aby sobie zaszkodzić.

Bez wzruszenia patrzała na zwłoki Darnleja, rozkazując go pogrzebać obok Riccia — jakby z wyrachowania.

Zbrodnia Botwela i jego wspólników oburzyła całą Szkocję, a nawet Europę. Chciano z początku oddzielić sprawę Marji od sprawy Botwela, lecz ona sama swojém lekkomyślném postępowaniem przeszkodziła temu. Dnia 24 marca 1567 r. ojciec Darnleja oskarżył Botwela o królobójstwo. Zwołano trybunał, i przyspieszono dzień sądów naznaczony na 12 kwietnia. Daremnie stary hrabia prosił o dłuższy termin, celem pozbierania potrzebnych dowodów. — Dnia 12 kwietnia Botwel na czele 5000 ludzi zebranych z pomocą pieniędzy i obietnic Marji ukazał się w Edynburgu. Najpierwsi magnaci znajdowali się w jego orszaku. Strach opanował całe miasto, nawet sędziów przysięgłych. Botwel wszedł do sali zapełnionéj swymi stronnikami i zuchwale popatrzał na ławę, na któréj siedzieć miał jego oskarżyciel. Lecz ten, nie rachując na poparcie, wcale nie przybył. Jeden tylko z jego wassalów zaprotestował w imieniu swego pana, żądając odroczenia; na co się jednak przelękli sędziowie nie zgodzili, ogłaszając wyrok uniewinnienia z przyczyny nieobecności oskarżyciela.

Botwel coraz bardziéj rozzuchwalony, wyprawił wspaniałą ucztę, na któréj wielka liczba magnatów, pozyskanych strachem, przekupstwem, czy téż nadzieją wyniesienia się, sporządziła akt naznaczający królowéj na męża

nikczemnego Botwela, uniewinnionego przez nich ze wszelkiego zarzutu zabójstwa.

Umówiła się z Botwelem, że ją niby przemocą wykradnie. W tym celu wyjechała z Sztirling z powrotem do Edynburga. W drodze napadł jéj eskortę Botwel z tysiącem jeźdzców, rozbroił ją, i uprowadził Marję nie broniącą się wcale do zamku Dunbar. W zamku tym pozostała z nim królowa przez dziesięć dni, poczém powróciła do Edynburga. Magnaci jednak, ci sami, którzy dopiero co przeznaczyli Botwela na męża królowéj, przejęci wstydem postanowili najprzód: uwolnić ją z rąk Botwela i odebrać mu wszystkie twierdze będące w jego posiadaniu, a potém ścigać morderców Darnleja. Postanowienie to zaprzysięgli uroczyście.

W czasie, gdy ta nowa burza zawisła nad głową Marji, ona w obec lordów rady złożyła oświadczenie, że odzyskała całkowitą swą wolność, i że przebacza Botwelowi gwałt uprowadzenia przemocą jéj osoby. Na dowód zaś swéj łaski dla niego, mianuje go księciem d'Orkney, naznaczając zarazem dzień 15 maja na dzień trzecich swych zaślubin.

Szkocja zadrżała na tyle cynicznéj odwagi i przewrotności, co jednak bynajmniéj nie zraziło królowéj, która już dawno w tych nadzwyczajnych a skandalicznych zajściach, nowszych szukała wzruszeń.

Przygotowania ślubne poczyniono na dzień 15 maja 1569 roku. Marją uroczyście oświadczyła, że chce poślubić księcia d'Orkney. Nie stawała już na drodze żadna prawna przeszkoda, więc też obrząd zaślubin w rytuale reformowanym odbył się w dniu 15 maja o bardzo wczesnéj godzinie, w jednéj z sal zamku Holyrood. Jakiż to odskok od owéj Marji Stuart, synowicy ultra katolickich Gwizjuszów . . . . poślubić człowieka najnikczemniejszych obyczajów — protestanta, obarczonego trzema żonami!

(Ciąg dalszy nastąpi).

---

a. δ. **Kronika.** — *O tém czego nie ma. Wojny nie będzie, Europa więc i Krakowianie mogą spać spokojnie. — Budki sodowe, ich wpływ na zawikłania dyplomatyczne. — Słówko o Unii. — Wypadek – i a propos.*

Miesiące, w których narody piją wody mineralne są nieznośne dla kronikarzy przykutych zdrowiem do życia stołecznego, gdzie między osieroconemi murami nic choćby na koniec pióra spolować nie można. Wypadałoby więc po ploteczki i nowinki jechać do Krynicy lub Szczawnicy i grać nie koniecznie piękną rolę plotkarza. Wprawdzie mimo takiéj głodowéj śmierci jaką jest zagrożone dziennikarstwo, objawy życia dają się spostrzegać, ale są to raczéj symptomata gorączkowe pewnych politycznych słabości, na dnie których pewne namiętnostki są ukryte. Nam w ten świat zakazany polemiki o lepsze — wchodzić nie wolno. Musielibyśmy więc na wzór pewnych koterji konserwatywnych stworzyć coś z niczego, lub mówić o rewolucjach i wojnach, na które myszy się jeszcze nie gonią. A ponieważ na wojennym usposobieniu narodu najwięcéj kobiety zawsze tracą, przez wzgląd więc na waszą przyszłość piękne czytelniczki, oraz bacząc na interesa „Kaliny" osiwiały na waszych usługach kronikarz deklaruje się za — europejskim pokojem. Ktoś zadzwonił na gwałt w Krakowie i krzyknął, że w głowach gore! lecz ponieważ tyle już fałszywych alarmów słyszano w tych czasach, nikt się nie ruszył do ratunku — którego nikt też nikt nie potrzebował. Skończyło się więc na tém, że postawiono kilka budek z sodową wodą na plantach — a młodzież tutejsza rycerskiego ducha, chłodzi marsowo pragnienia musującym napojem i . . . jeżeli miewa jakie konspiracyjne posiedzenia, to chyba około florjańskiéj bramy — na co policja tutejsza łaskawie patrzy przez szpary.

Gorzéj cokolwiek stało się ze Lwowem, tam opiekę nad nieletniemi posunięto do troskliwszych rozporządzeń, które nie bardzo przyjemnie, chociaż nie na wszystkich — oddziałały. — Sparaliżowanie obchodu Unii wywołały sążniste polemiki dziennikarskie, i na tém się zapewne skończy. — Bacząc na dzisiejsze rozstrojenie umysłów, nie można powiedzieć czy to krzywdę czy korzyść nam przyniesie; to tylko możnaby dodać, że policji lwowskiéj należało cokolwiek wcześniéj zdecydować się, wiedząc jakie przygotowania li tylko do uświetnienia obchodu uroczystości czynią się wszędy. Lecz ponieważ nie nasze są to światy owe krainy polityczne, bez żadnéj więc urazy do władz rządowych, rozprawy nad tym przedmiotem pozostawiamy panom dyplomatom.

Na zakończenie radzibyśmy dać wam piękne czytelniczki coś z miejscowych wydarzeń — gdyby się co wydarzyło w Krakowie. A prawda, jest morderstwo! Na plantach zamordowano człowieka, a „Dziennik Warszawski" niecomieszka zapewne napisać, że to jeszcze ostatki sztyletników błąkających się po Galicji niepokoją cichych mieszkańców Krakowa, nawet tak mówiono ogólnie w wielkim przerażeniu — szczęście, że protokół spisany z dwóch ujętych opryszków wyprowadził publiczność z błędu.

Wreszcie niewiem jak tam z grzybami, ale co na literaturę, to widocznie deszcze lipcowe korzystny wpływ wywierają. Pewien myśliciel kiedym mu myśl tę zakommunikował, zaręczał mi, że mózg to jak ziemia, potrzebuje czasem aby ją zwilżyć – inaczéj nie wyda plonu. Zgadzając się ze zdaniem mojego przyjaciela, a sądząc z przeszłości, zdawałoby się, że w Galicji przez lat kilkadziesiąt z górą okropne trwały posuchy. Dziś, niewiadomo zkąd, przy mglistym dosyć firmamencie, wydobyto jeszcze dobrego humoru, który jak szampan głośno strzela na wszystkie strony, a sól attycka mimo potopu Wieliczki znalazła się na rodzimym gruncie. Skarby te wszystkie odszukał Jego Mość „Djabeł" i ogłosił manifestem, że za jednego guldena bierze duszę uczciwą w opiekę i obowiązuje się dać jéj wikt przyzwoity na cały kwartał. Jaki taki więc człowiek, bojąc się by o nim w piekle nie było złéj noty, niesie mamonę na ofiarę szatanowi.

*** Przez kilka dni bawił w Krakowie *Rychter* znakomity artysta teatrów warszawskich. — Kraków cieszy się nadzieją, że Dyrekcja tutejszéj sceny postara się, aby p. *Rychtera* po powrocie z wód, gdzie na kuracji kilka przepędzi miesięcy — zatrzymać u nas na dłużéj — a może i na zawsze. Rzeczywiście, byłaby to wielka wygrana dla interesów teatru krakowskiego, a publiczność tutejsza przyjęłaby tę wiadomość z prawdziwą radością.

*** *Towarzystwo Pedagogiczne* odbywało swoje posiedzenia przez dni kilka w sali radnéj tutejszego Magistratu. Stowarzyszenie liczy obecnie 1500 członków i parę tysięcy kapitału. Cel szczytny jaki sobie obrało i skrzętność w przeprowadzaniu reform ułatwiających kształcenie wiejskiéj młodzieży daje mu miejsce doniosłe w społeczeństwie. Szczupłość miejsca nie pozwala nam podać szczegółowego sprawozdania z odbytych posiedzeń, na których bardzo żywotne kwestje z gruntowną znajomością przedmiotu i z miłością dla kraju, były nader żywo dyskutowane. — Żałować tylko wypada, że Nauczycielki instytutów krakowskich wychowania panien tak nieliczny brały udział. Chociaż za przykład w tym względzie mogły im służyć koleżanki z prowincji, które nie żałowały fatygi i kosztów, aby nauczyć się lepiéj prowadzić powierzoną sobie dziatwę. Czyżby instytuta krakowskie wychowania panien stały tak wysoko w *doskonałości!* Wartoby się zapytać *opinii.*

*** Dziś w sali teatru krakowskiego odbędzie się przedstawienie amatorskie na rzecz restauracji Sukiennic. Rozpocznie „Terenia w kłopocie“ jednoaktowa komedyjka wierszem J. Starkla; „Kazimierz W. i Bruzda“ komedja w dwóch aktach przez E. D.; zakończy zaś obraz z żywych osób „Kazimierz W. w gronie włościan Łobzowskich.“ Słyszeliśmy, że drugie przedstawienie, do którego dodaną będzie jednoaktowa komedja wierszem „Emancypantka“, odbędzie się w przyszły wtorek.

Korespondencja „Kaliny.“

P. **J. K. S.** — Za wyrazy uznania w liście Waszym serdecznie dziękujemy; z wierszyka skorzystamy w następnym Nrze, o komedję prosimy uprzejmnie. List do Was pełen poezji wysyłamy we środę.

P. **Marji No...** w Nowosielcu. — Fotografją wysłał p. Rzewuski.

Kierujący Redakcją Aleksander Dawidowicz.
Odpowiedzialny redaktor i wydawca *St. Gralichowski.*

W drukarni „Czasu“ W. Kirchmayera. Rządzca Drukarni *Józef Łakociński.*